TYGODNIK ILVSTROWANY

FAMVLVS

30 GR.



20—27 luty 1927 r. WARSZAWA — KRAKÓW — LWÓW — POZNAŃ — WILNO — GDAŃSK Rok I, Nr. 2

Z MOJEJ KARJERY...

II

Udajemy się z kolei do najwybitniejszej autorki współczesnej literatury p. Zofji Nałkowskiej, której liczne dzieła, jak „Kobiety“, „Lodowe Pola“, „Książę“ spotkały się z wysokiem uznaniem nietylko w kraju, ale i zagranicą, gdzie liczne przekłady w obcych językach zaszczytnie rozpowszechniły imię naszej rodaczki.

— Doskonała inicjatywa — pochwala p. Nałkowska, gdy objaśniłem jej cel mojej wizyty.—Uważam za rzecz pierwszorzędnej wagi, by społeczeństwo utrzymywało najściślejszy kontakt z życiem wybitnych swych ludzi, ze wszystkimi ich przeżyciami. Inicjatywa taka jest wszechstronnie realizowana zagranicą, gdzie społeczeństwo jest stale informowane o najmniejszych faktach lub czynach. A u nas?...

I zaczęła tak:

— Chwila z mojej karjery, wybitniejsze przeżycia...

Cóż, kiedy życie tak mi równo płynęło — chyba, że wrócę do dziecinnych wspomnień, bo, jako dziecko, zaczęłam pisać.

Wychowana od dzieciństwa wśród otoczenia, które życie poświęciło pracy *pisarskiej*, uważałam, iż obowiązkiem, przeznaczeniem jest również pisać i, jako mała dziewczynka, pisałam już wiersze. Z pochmurną powagą objaśniałam, że teraz wprawiam się tylko, żeby już umieć pisać, jak dorosnę.

Pierwszy utwór (o nocy letniej) wydrukowano mi w „Przeglądzie Tygodniowym“. Miałam wtedy dwunasty rok, a w chwili, gdy przyszedł list z redakcji, bym porozumiała się z redaktorem co do pozostałych utworów — „autorka“ właśnie biegała na „bosaka zaprzężona jak koń“.

Pierwszą moją prozę, owe „Lodowe Pola“, których ostatnie trzecie wydanie niektórzy krytycy ni stąd, ni zowąd wzięli za najświeższą moją rzecz — zaczęłam drukować w „Prawdzie“, gdy miałam osiemnaście lat.

Nazwano mnie „dzieckiem, piszącem dla dorosłych“.

Tak więc karjera moja była odrazu zadecydowana, i z drogi tej nie schodziłam, chyba... dla wiążących celów matrymonjalnych. Dzięki memu małżeństwu bowiem weszłam do świata „Rodziny Wojskowej“ i przez pewien czas pracowałam nawet w szeregach tego stowarzyszenia.



Zofja z Nałkowskich pułkownikowa Gorzechowska

Życie wojskowe dało mi poznać wiele jemu właściwych uroków. Wędrówki służbowe dały mi poznać pierwotny świat naszych kresów, ich piękną, smutną, wystarczającą sobie naturę, życie kresowego miasta, urok i trud polowań.

Zbliżyłam się na nowo ze światem zwierząt, psów, saren, z dziwacznym światem koni, które są tak niemądre, a zarazem tak subtelne.

— Polska Collette — przerwałem mimowoli, wiedząc, iż p. Nałkowska wespół z p. M. J. Wielopolską jest autorką opowiadań o zwierzętach, p. t. „Ksiągi o przyjaciołach“, które wkrótce ukażą się w druku.

— Porównania trafne — potwierdza mi p. Nałkowska, — gdyż wiele jednakowych mamy nawet przeżyć. Należą one raczej do mego życia, a nie do „mojej karjery“...

— Czy można zapytać, co pani obecnie przygotowuje?

— Szkice na tle wrażeń z odwiedzania więzienia w Grodnie. Dałam temu tytuł „Szczęście i Śmierć“. Rzecz ta, którą, jak każdą bieżącą pracę autor ponad wszystkie ceni, jest całkiem odmienną od dotychczasowych wielu prac. Atmosfera więzienia, które odwiedzałam, wywarła na mnie tak głębokie wrażenie, iż nie mogłam się oprzeć chęci oddania tego strasznego obrazu, w którym nie przeprowadzając bynajmniej żadnej tendencji, poprostu konstatuje fakty, w tych barwach. jak je każdy ze strony ujrzeć mógłby.

— A dalej — zapytuję — boć jednak autor, gdy stworzy jedno dzieło, już pewnie drugie rozplanowuje...

— Rzeczywiście. Jest powieść, ale o tem jeszcze czas...

Rozmawiamy jeszcze o przekładach zagranicznych, które w różnych językach rozpowszechniły po świecie twórczość utalentowanej autorki.

Przeglądam obce recenzje, które z entuzjazmem przyjmowały wydane przekłady. Pośród wielu znajdujemy przedmowę... Dąbala do „Romansu Teresy Gennert“.

— Ktoby przypuszczał, że Dąbal i... literatura?

Przedmowa ta jest całkiem „sui generis“, że nie możemy powstrzymać się od uśmiechu politowania nad tragi-komiczną manifestacją byłego naszego rodaka.

Na miłej pogawędce szybko zeszedł czas. Pani Zofja Nałkowska, wice-prezes literackiego klubu „Pen-Club‘u“ i członek zarządu Ligi Praw Człowieka śpieszy na posiedzenie...

E. R.



MIECZYSŁAW SZCZĘSNY. *Z cyklu „Sylwetki“*

Cezary Miś mimo swoje trzydzieści kilka lat był już starym człowiekiem. Umęczony życiowemi troskami dźwigał swoje jarzmo z rezygnacją, zamknął się w sobie i zaniemówił. Cichy, spokojny szedł sobie swoją drogą, nie zawadzał nikomu, niczem się nie interesował, nic go nie wzruszało.

A jednak w nim samym coś się działo. Miał snać jakieś swoje wewnętrzne utajone życie.

Niechętnie dawał się wciągać w pogawędki z kolegami biurowymi; niewiadomo dlaczego, czy nie miał nigdy nic do powiedzenia, czy też dlatego, że seplenił. Może się tego wstydził — niewiadomo.

Czasem tylko, gdy jego umęczony dużym wysiłkiem mózg przetrawił jakąś „myśl wybitnej wagi“, gdy wyłupiaste jego oczy, zaopatrzone gdzieś wdal, pokrywały się cienką błonką wilgoci, Cezary Miś zwolna wstawał od swego stołu, podchodził do jednego z sąsiadów — kolegów i, jakby w dalszym ciągu jakiejś rozmowy, szeptał cichym, przytłumionym głosem:

— Wczoraj było tak ładnie, jakby już była wiosna“... — i uśmiechał się dobrotliwie i znów zapatrzony w jakiś nieznany obraz wracał na swoje miejsce, mrucząc niewyraźnie i uśmiechając się.

Ale takie momenty miewał Miś bardzo rzadko. Starsi koledzy pamiętali go jeszcze z tych czasów, gdy, jako osiemnastoletni młodzieniec, wstąpił był na służbę. Niewiadomo skąd się wziął, jakim sposobem i dlaczego obrał sobie zawód urzędnika. Wiedzieli tylko, że pan Cezary zawsze był osowiały, zamyślony, choć jednak nigdy niczem się nie przejmował, bo nic go nie interesowało. Dzięki swojej pracowitości i punktualności utrzymał się na stanowisku, mimo, że nie zdradzał żadnego uzdolnienia i dosłużył się aż dziesiątej rangi.

Dla Misia była to karjera.

A jednak był smutny, i nikt nie umiał sobie tego zjawiska wytłómaczyć. Miał widocznie swój mały światek zgryzot.

Lecz nigdy nie narzekał na swój los, bo Cezary Miś miał swoje „indywidualne poglądy“. Tak przynajmniej sam je czasem inteligentnie nazywał i dumny był z siebie za to.

Nie wierzył bowiem w przeznaczenie i rządzenie losu.

— Żaden los mnie skrzywdzić nie może, bo los nie żyje... niema rąk, niema oczu, niema języka. Skrzywdzić może tylko człowiek! Los — nigdy, nigdy!

Tak głosił czasem Miś-filozof.

To też los mścił się na nim, a Miś nie wierzył!

Pewnego dnia stało się coś niesamowitego. Cezary zjawił się do pracy nieco ożywiony. Spojrzenie miał żywsze, był staranniej uczesany. Przy odwiecznej granatowej i mocno wypłowiałej marynarce i nowym kołnierzyku z klapkami, zawiązany był czarny krawat, a z rękawów wyglądała para śnieżnej białości mankietów.

— Taka zmiana? Metamorfoza! Coś się musiało stać niezwykłego!

Wszyscy byli zaniepokojeni. Pytano się, odgadywano, lecz nikt nie miał tyle śmiałości, aby przewidzieć istotną przyczynę takiego przeistoczenia, jakie zaszło w Cezarym Misiu!

Dzień minął, a Miś milczał!

Aż po pewnym czasie, gdy Cezary jeszcze bardziej przycichł, zmizerniał i już nawet przestał uśmiechać się do swoich myśli, najodważniejszy z kolegów postanowił wyjaśnić zdarzenie pamiętnego dnia. Począł więc ostrożnie mówić o wiośnie, o ptakach, o dobrych ludziach i o złym losie. I o niedoli cichych myślicieli. I wreszcie wręcz zapytał:

— Kochany panie Cezary, czemu pan przed kilku dniami był tak ożywiony? Czy spotkało pana jakieś szczęście? I dlaczego pan jest znów taki smutny?

Miś milczał długo, wodził dookoła jakimś zatrwożonym wzrokiem, aż w końcu w widocznem naprężeniu nerwów wyszeptał:

— Ożeniłem się.

Jakto, Miś? Cezary Miś? Filozof! Nieszczęśliwy optymista? Z pensją 187 złotych miesięcznie?

— Kiedy ona mnie tak strasznie prosiła! Aż płakała!... nie mogłem odmówić.

Zawistny los!

— — — — — — — — — —

Miś nigdy nie czytywał gazet i to stało się przyczyną drugiego katastrofalnego zdarzenia w smutnem życiu Cezarego Misia.

Zdarzyło się bowiem raz Misiowi coś boleśnie tragicznego. Stracił całą miesięczną pensję. Niewiadomo było, czy zgubił, czy mu pieniądze skradziono. Gdy wrócił do domu i przyjętym zwyczajem zamierzał oddać swej żonie cały zarobek, przekonał się w cichej i bezgranicznej rozpaczy, że kieszeń była pusta; ani pieniędzy, ani portfelu. Wyrzekł podobno tylko jedno słowo:

— Niema! — i skamieniał... zaniemówił...

Popadł w gorączkę i przez tydzień nie zjawiał się do pracy. W biurze postarano się o doraźną pomoc dla rodziny Misiów. Zebrane pieniądze odesłano pani Cezarowej, jako „długoterminową pożyczkę". Delikatność w tym wypadku była całkiem zbędna, gdyż pani Cezarowa nie znała kilku drobnych uczuć, jak etyka, ambicja i t. p. puste has'a. Dla jej umysłu prostaczki bardziej dostępnem było poczucie solidarności koleżeńskiej dochodzącej niemal do obowiązku. Zresztą... pieniądze się przydały.

Lecz on widocznie innego był zdania, bo gdy wrócił do pracy, nie poznano go. Jeszcze więcej się postarzał, przygarbił i jakby zmartwiał. Pracę swą wykonywał mechanicznie, poruszał się jak automat, nie patrzył się na nikogo. Pewno się wstydził... Tylko czasem, gdy w biurze na chwilę gwar ustawał, słychać było głębokie i bolesne westchnienia.

To Cezary Miś.

Pracował jak nakręcony automat, przebierając długimi, chudymi palcami po gałkach liczydeł, nie przerywając ani na chwilę swojej jednostajnej gry.

Na krótko tylko przy śniadaniu odkładał duże księgi i, jakby w dalszym ciągu swojej mechanicznej pracy, spożywał skromny, bardzo skromny posiłek. W takich momentach Miś, jeśli się zdarzało, że jego dwa kawałki suchego chleba zawinięte były w kawałek starej gazety, oddawał się lekturze. Wogóle gazet nie czytywał nigdy — nie interesowały go.

I oto w niespełna dwa miesiące po tragicznem zdarzeniu podczas śniadania w skupioną ciszę, jaka w takich chwilach zalegała salę biurową, wdarł się jakiś nieludzki okrzyk, jakby jęk, okrzyk radości i przerażenia zarazem. Spojrzenia wszystkich skierowały się w stronę stołu Cezarego Misia. Miś z napoły otwartemi ustami, w których tkwił niepołknięty kęs chleba, siedział blady, zesztywniały, jakby zamarł. Rzucono się gremjalnie do Cezarego, poczęto go uspakajać i wypytywać, co i dlaczego. Lecz Miś nie mógł wyrzec ani słowa. Milczał, czy nie chciał nic mówić. Dopiero po kilku minutach zauważono na skrawku gazety ogłoszenie, w którym uczciwy znalazca wzywa poszkodowanego do odebrania zgubionego portfelu z gotówką.

Gdy Miś, popędzany przez kolegów, aby natychmiast udał się pod wskazany adres, z trudem wciągał



— Nie mieszka już, nie mieszka...

na zesztywniałe ramiona swój wyszarzały płaszcz, mruczał:

— Mówiłem zawsze... los nie krzywdzi, tylko człowiek, a człowiek znalazł i zwraca!

I poszedł.

Po drodze układał sobie piękne słowa podziękowania. Już widział, jak obaj, dobroczyńca i Miś wzruszeni padają sobie w objęcia... I ściskają się...

Z sercem, pełnem radości, i ze wstydliwym triumfem Miś cicho wszedł do stróża domu, gdzie mieszkał jego dobroczyńca

Wymienił nazwisko i czekał.

Stróż zdziwiony spojrzał na Misia, wzruszył ramionami i wyrzekł:

— Nie mieszka już, nie mieszka.

— Jakto, przecież wyraźnie wydrukowane, nawet ogłoszenie zapłacone !

— Tak, ale przed tygodniem umarł. Kawaler, nikogo nie zostawił.

Zawistny los!



CHRYZANTEMY

Ustrojone w przepyszne szaty z brokateli
wstrząsają chryzantemy rozczochrane grzywy,
szkarłatem słońce błyska, śmieje się, weseli,
czarując z plam złocistych jakieś cuda, dziwy.
Jak damy średniowieczne, w takt lutni minstreli
schylają dumne głowy w rytm wiatru pieściwy,
to blędną pośród słońca płomiennej topieli,
to rozbłysną w barw tysiąc, jak skarb migotliwy.
Chryzantemy, jak sztywne posążki z Tangara,
patrzą zgóry na padół smukłe, niedostępne,
tak dumne, że pył ziemski ich stopek nie dotrze...
Tylko czasem, gdy dziką pieśń im wicher zagra,
hipokrytki wsłuchują się w szepty występne,
chłonąc całunki słońca kradzione, najsłodsze.

Eugenja Solska



PAWEŁ BUSSON

Mice

(Przekład Jerwicza)

Przejazd miał burzliwy. Mała barka, wysłana po niego z przystani z trudem przybiła do wielkiego okrętu. Zbliżając się do lądu, patrzał ze wstrętem na mętną wodę płytkiej zatoki Durazzo, po której gęsto pływały oderwane algi, podbne do wijących się zielonych wężów. Było bardzo parno. Nieznośna woń gnijących wodorostów i ryb zatruwała powietrze.

W mieście zaduch był jeszcze gorszy. Wąskie uliczki były tak przesycone zapachem baraniego łoju i cebuli, iż z trudnością oddychał. Wychudłe psy stały gromadami przed rzeźnickiemi sklepami, wpatrzone żarłocznie w rozłożone we drzwiach, na głębokich misach dorbno pokrajane kawałki mięsa i wiszące nad niemi różowe, wzdęte płuca i sinawe wątróbki. Kobiety w czarnych czarczafach, z twarzami do połowy zasłoniętemi, zachodziły mu drobnemi kroczkami drogę, małe osiołki, obładowane wielkiemi koszami z chrustu zmuszały go, a także dźwigającego mu kufry Hamala do wciskania się we wnęki murów, aby nie ulec zgnieceniu.

Zadowolony był, gdy wreszcie stanęli przed hotelem, który wyglądem swym nie wzbudzał zaufania i był prawdziwą ruderą. Opadła go tu zgraja oberwańców i sługusów, zasypując gradem niezrozumiałych, gardłowych słów. Wreszcie dogadał się jako tako, i po długich targach zaprowadzono go do pokoju, w którym przez kilka tygodni miał pozostać.

Pokoik był jasny, wymalowany czysto, cały turkusowy. Na ścianie przylepiono paski papieru, gęsto zapisane arabskiemi literami. Nad białem łóżkiem rozpięty był duży japoński wachlarz, lśniący zielenią, purpurą i złotem. O niskie, przyziemne prawie okno, prowadzące wprost do zapuszczonego ogrodu, opierał się kulawy stół z poplamionym blatem. Z sufitu zwisała spirytusowa lampa z podartą koszulką.

Ubogie urządzenie pokoju nie przeraziło go bynajmniej. Przeciwnie, świeżo powleczone łóżko i czyste ściany bez śladów robactwa, które było plagą tego kraju, sprawiły mu miłą niespodziankę. Nie przypuszczał nawet, że w tem biednem, cuchnącem miasteczku może istnieć taka oaza, jak błękitny jego pokoik.

Wyjął z walizki przybory piśmienne i, rozłożywszy papier, zasiadł do pisania listu do kraju, zawiadamiając swych mocodwców o przybyciu do Durazzo.

Pisał chwilę, Ale, gdy powtórnie chciał zanurzyć pióro w kałamarzu, zdumiał tak, że ręka jego zawisła w powietrzu.

Przed oknem stało jakieś stworzenie i przypatrywało mu się uparcie. Był to prawdopodobnie chłopczyk, na co wskazywały szerokie, wyblakło różowe szarawary i brudny, obszyty czarnemi taśmami kaftanik bez rękawów. Twarzyczkę miał śliczną, kawowobronzową, rozświetloną olbrzymiemi granatowo-czarnemi oczami o podskakujących białkach. Ciemne, poplątane kosmyki włosów, wysuwające się w dzikim nieładzie z pod niegdyś białego baszlyka spadały na czoło i ramiona.

— Któż ty jesteś? — spytał zdumiony nieoczekiwanego gościa.

Jego albańskie narzecze, nad którego opanowaniem mozolił się bezowocnie, pozostawiało wiele do życzeczenia. Stworzonko, ubawione złą wymową cudzoziemca, zaśmiało się srebrzyście, ukazując przepyszne, drobne ząbki.

— Ja być Micê — odpowiedziało, szybko naśladując jego mowę.

Micê — znaczenie tego słowa zrozumiał obcy. Micê — to kot.

— A co ty tu robisz? — zagadnął znowu.

Zamiast odpowiedzi wskoczyło stworzonko na parapet okna i, przekręciwszy się, zwinnie siadło naprzeciwko niego, machając mu tuż przed nosem nogami. Jeden rozdeptany pantofel z zakrzywionym końcem spadł przytem na podłogę, obnażając małą, ciemną nogę. Uśmiech Micê był mimo niechlujności całej postaci czarujący.

— Ja tu zawsze być.

Figlarny błysk oczu, towarzyszący tym słowom, wskazywał, iż ktoś, mówiący tak źle jego językiem, prawdopodobnie nie zrozumiałby inaczej wyrażonych myśli.

— Ja bardzo dobrze. Ja bardzo pięknie. Ja zawsze tu przyjść. Ja lubić cygaro... — wyrzucało stworzonko ze siebie urywane zdania głosem niskim, gardłowym, przypominającym gruchanie gołąbka.

Bez namysłu wyjął z ust ledwo nadpalone cygaro i cisnął je stworzonku, które z zadowoloną minką zaciągnęło się głęboko. Jednocześnie oczy jego zatrzymały się na maleńkiej niemożliwie brudnej nóżce, która usiłowała wielkim palcem złowić żółty skórzany pantofelek, leżący na podłodze. Usta mu zadrgały drwiąco.

— A ka ktu ni haman? — spytał, tłumiąc śmiech.

Pytanie to: „czy nie ma tu kąpieli", dość dla stworzonka obraźliwe, wywołało rodzaj ciemnego rumieńca, od którego jeszcze bardziej zbronzowiały kawowe policzki. Ale nie czuło się widać dotknięte, gdyż po chwili przycisnęło ręką okolicę żołądka i zawołało:

— Une kam uu!

Miało to oznaczać, iż jest głodne. I długo przeciągnięte „uu" zabrzmiało, jak wycie małego wilczka, którego zawodzenie dobiega często podmiejskich moczarów Durazzo, z Kmeta Durs.

Rzucił łobuzowi srebrną monetkę na okno. Mała wąska łapka schwyciła ją w okamgnieniu, poczem dziwna istotka jednym susem skoczyła do ogrodu i zniknęła.

Kolację jadł w hotelu w towarzystwie sympatycznego włoskiego inżyniera i nauczyciela, który wykształcenie otrzymał w Wiedniu. Opowiedział im o niezwykłym swym gościu.

— To Micê — zawołali jednogłośnie i roześmieli się — pan pewnie mieszka w pokoju, wychodzącym na ogród?

Dowiedział się od nich, że Micê nie jest chłopcem, a dziewczynką, że jest Arabką z Yemen, którą jakaś żona tureckiego oficera tutaj zapomniała. W tym właśnie pokoju mieszkała kiedyś Micê ze swą panią i przywiązała się do niego, jak zwierzątko, którego imię nosiła. Powracała doń zawsze, mimo że przepędzano ją i uważała każdego mieszkańca błękitnego pokoiku za swego przyjaciela. Włoch znał ją widocznie bardzo dobrze, choć właściwego jej imienia nie wiedział również.

— Jak na pierwszy dzień w takiem Durazzo, epizodzik dość zabawny. Ale może byłoby lepiej i przezorniej wychodząc okno zamykać?

— O nie, ona nie kradnie — zapewnił inżynier z Bari. — Niech pan spokojnie dokończy jedzenia. Okno może zostać otwarte. Komary będziemy mieli dopiero w przyszłym miesiącu.

Potem pili greckie wino i spędzili wieczór wesoło.

Późną nocą wrócił cudzoziemiec do domu Zapalił spirytusową lampę i w nieprawdopodobnem niebieskożółtem świetle, które zalało pokój, zobaczył Micê, śpiącą spokojnie na jego białej, czysto powleczonej pościeli.

Oburzony przyskoczył do łóżka, żeby ją spędzić.

Ale nagle zatrzymał się. Spojrzał na nią uważnie.

Był trochę odurzony słodkiem, aromatycznem winem, więc gniew opuścił go prędko. Ze źdźiwieniem, które przeszło w zachwyt, przyglądał się dziewczynie. Miała na sobie śnieżno-białe, wyszyte w wielkie półksiężyce szarawary i różową koszulkę. Bronzową, toczoną rączkę zdobiła szeroka bransoletka ze srebrnego filigranu. Dopiero teraz zobaczył, jak piękną jest ta mała kobietka o smukłych wytwornych kształtach i miękkiej, dziecinnej twarzyczce. Dla niego wszak przybrała się w ten strój, niewątpliwie najpiękniejszy, jaki posiadała...

— Czemu nie? — mruknął do siebie — czemu nie? Taki sam jestem... zawsze sam. Zgasił lampę. Przez czarne cyprysy ogrodu migotały słabo gwiazdy.

*

— Micê jest nie do poznania zmieniona — zauważył parę dni później inżynier. — Co pan zrobił z tem małem zwierzątkiem?

— Micê jest taka sama kobieta, jak wszystkie — zaśmiał się obcy.

— Trzeba tylko umieć rozbudzić jej duszę — uzupełnił Włoch.

— Kobiety nie mają duszy — rzucił oschle nauczyciel. — Turcy to wiedzą i dlatego trzymają je, jak drób w kurniku, pod kluczem.

— Będę musiał niedługo odjechać — rzekł cicho cudzoziemiec — co wtedy stanie się z Micê?

— Niech pana o to głowa nie boli — zaśmiał się brzydko nauczyciel.

Ponieważ nie ograniczył się tem i dodał jeszcze arcynieprzyzwoitą uwagę. Włoch się trochę wystraszył.

— Poco te głupie żarty? Nasz kochany przyjaciel może je źle zrozumieć i wtedy oberwie pan porządnie.

Ale młody człowiek zdobył się tylko na machnięcie ręką.

— Niech tam — powiedział zmęczonym głosem. — Wszystko się skończy... I może właśnie tak jest najlepiej...

Dnie płynęły. Dnie pełne ciężkiej pracy, wyczerpujących upałów i jednostajności. Moczary zaczęły parować i zatruwać powietrze. Wielkie komary z biało znaczonemi nóżkami — rozsadniki żółtej febry — oblepiały siatkę nad łóżkiem i brzęczały nieustannie. Często leżał cudzoziemiec całemi godzinami, nie znajdując snu i przysłuchiwał się spokojnemu, dziecinnemu oddechowi małej kobietki, która spała przy jego boku uśmiechnięta, nawet we śnie bezgranicznie szczęśliwa.

Bo Micê była u szczytu zaspokojonych pragnień, miała wszystko, czego jej naiwne serduszko dziczki wymarzyć mogło. Miała kaftanik z fiołkowego aksamitu, haftowany złotem, białe pończochy, wielkie pudło słodyczy, czerwone pantofelki z najcieńszej, miękkiej skórki i dużo, dużo innych cudnych, przedziwnych rzeczy... Codziennie chodziła do kąpieli, malowała sobie paznogcie u rąk i nóg henną i pachniała tak ślicznie świeżością i cynamonem...

Ale jednego dnia nadeszła złożona kartka papieru ze słowami, które przybywały z dalekich stron po drucie. I te słowa powiedziały, żeby cudzoziemiec zaraz wyjechał do Elbassanu.

Micê nie płakała i o nic nie prosiła. Patrzała, jak pakował swe kufry i w przepaścistych jej oczach płonęły ponure, złe ogniki.

— Dhelpna — rzuciła mu przez zęby.

Dhelpna — to lis. Słowo to jest obelgą i znaczy „fałszywy, podły".

A w parę chwil potem spostrzegł cudzoziemiec, że zamszowy woreczek, nabity lirami i złotemi funtami szterlingów, który zawsze nosił na piersiach znikł, jak zdmuchnięty różdżką czarodziejską.

— Micê — jeknął.

Patrzał na nią przerażony, niedowierzając...

— Ty nie jechać do Elbassan — krzyknęła rozpacznie.

Zaczął do niej przemawiać... Prosił, groził, błagał. Milczała. Wtedy uderzył ją w twarz.

Nie poruszyła się. Nie spuszczała z niego wzroku.

— Oddaj pieniądze! Micê, rozumiesz, musisz oddać te pieniądze! Ja odjeżdżam. Muszę je mieć! Muszę natychmiast!...

Nic nie pomogło. Czas upływał. Wreszcie z ciężkiem sercem zdecydował się posłać po zaptieha.

Gdy Micê ujrzała czerwony mundur żandarma, zadrżała całem ciałem.

— Niech pan jeszcze poczeka — poprosił cudzoziemiec — proszę wyjść za drzwi i tam czekać moich dyspozycyj.

Zaptieh, mrugając porozumiewawczo oczami i uśmiechając się, opuścił pokój.

Cudzoziemiec skrzyżował ręce na piersiach i, patrząc twardo na dziewczynę, cisnął krótko:

— Ni minut! Jedna minuta...

Chwilę jeszcze spoglądała na niego Micê dziwnym, zgaszonym wzrokiem zbitego psa. Potem wstała z kąta, w którym siedziała skurczona na dywanie. Chwiejąc się na nogach, postąpiła parę kroków, potem podniosła deskę podłogi, wsunęła w otwór rękę i gwałtownym ruchem rzuciła mu pod nogi sakiewkę.

Drżącemi palcami odwiązał woreczek. Nic nie brakowało. Mógł odjechać.

— Pieniądze się znalazły — rzekł głośno, otwierając drzwi. Wręczył czerwono umundurowanemu stróżowi bezpieczeństwa całą garść papierosów — znalazłem sam pieniądze.

— Dziękuję, effendi — rzekł żandarm, odchodząc.

*

— Tego dotychczas jeszcze nigdy nie zrobiła... — zauważył zdziwiony Włoch.

— Psują nasz lud, drogi panie — rezonował nauczyciel — żaden schiptar nie kradnie... Wprawdzie ona... to ciemna krew... Arabka...

*

Trzy chude szkapy szarpnęły z miejsca rozklekotany wózek, który skrzypiąc potoczył się w kierunku bazaru Schjak. Z wielkiej kałuży na pełnej wybojów drodze zerwał się, podnosząc strugę wody, duży pelikan i wypluł tuż nad głową odjeżdżającego cały deszcz małych rybek.

Nagle woźnica odwrócił się i zaklął. Potem przechylił się raptownie w tył i, zamachnąwszy batem ponad budą wózka, uderzył nim z całej siły.

Rozległ się donośny, żałosny krzyk, i coś spadło ciężko na twardą ziemię i potoczyło się w tumanie kurzu.

Bat śmigał teraz kościste, ledwo skórą obciągnięte grzbicty końskie. Szkapy przerażone popędziły naprzód galopem.

Cudzoziemiec stanął w wózku i spojrzał za siebie.

Zobaczył Micê. Leżała skulona na czworakach, jak postrzelone zwierzę, wśród pustej gliniastej drogi i skowyczała okropnie, przeciągle... Skowyt ten przeszedł w rozdzierający pisk, jaki wydają czasami dręczone koty... Potem padła twarzą na brudny piasek i nie poruszyła się więcej.

Włoch, widząc, iż cudzoziemiec zamierza wyskoczyć, schwycił go za ramię.

Dopiero, gdy wózek wolniutko zaturkotał po dziurawym drewnianym moście, pod którym w głębokiej przepaści toczyła leniwa Aresna swe wody, puścił Włoch ręce szlochającego cudzoziemca.

— Przeklęty to kraj, zatruwający dusze i ciała — mruknął dziwnie ciepło — niechże pan będzie rozsądny. Znam ją. Jutro stanie znowu przed wychodzącem na ogród oknem pokoju. Niech mi pan wierzy... I ten Grek, który się dzisiaj wprowadził, zapyta ją: „Kim jesteś?". A ona odpowie: „Ja być Micê". A resztę pan już wie...

Ale tamten nic mu nie odpowiedział. On, człowiek z dalekiej ziemi, zrozumiał, że i koty kochać umieją, jeśli się z niemi postępuje, jak z ludźmi.

Prawdopodobnie lepiej jednak tego nie czynić.

Z raptularza

Chore dusze.

Czad powojenny nie przestaje zatruwać dusz ludzkich, doprowadzając do szaleństwa zbrodni i przestępstw przeciętnych zjadaczy chleba, o których w normalnych warunkach byłoby głucho zarówno w kronice ludzkiego dobra, jak i zła.

Taki, naprzykład, Maślany... Z powodu niesnasek, panujących w rodzinie, popełnia wstrząsającą zbrodnię, mordując, jak dzika bestja, wszystkich, których znajduje pod ręką. Nie, nie robi najmniejszego wysiłku, by wynieść się z domu, gdzie, dajmy na to, nawet go krzywdzą czy dokuczają mu, lecz sam wymierza sobie sprawiedliwość i w strumieniach przelanej krwi szuka zaspokojenia dzikiej zemsty i odwetu.

Zwierzę obudziło się w przeciętnym człowieku, które, gdyby nie warunki naszego życia powojennego, drzemałoby na dnie jego duszy, trzymane w karbach bojaźni przed zbrodnią i występkiem. Rozluźniły się obyczaje współczesne, upadła moralność, nadszarpnęły się więzy, łączące ludzi w bratnią gromadę pomimo przyziemnych i szarych trosk dnia codziennego.

I nietylko u nas zbrodnia i występek szczerzą swe czarne zęby, nietylko u nas dzieją się rzeczy potworne, jak to zwykli wmawiać w innych ci, co o wszystkiem, zwłaszcza, jeżeli się dzieje źle, twierdzą:

— Bo to, proszę państwa, u nas...

Nie, nieprawda! W kulturalnej Francji również niedawno kroniki zanotowały przerażającą zbrodnię. Oto przeciętny kmiotek francuski, któremu spodobał się pęk róż, trzymanych w ręku bliźniego, najspokojniej w świecie zamordował go, by róże przywłaszczyć sobie. I nie zagadało sumienie, nie zmroził serca krzyk mordowanej ofiary. Co tam zbrodnia? Wielka rzecz, grunt róże, które się podobały i można je było zdobyć w ten sposób.

A liczba dzieciobójstw, tak przeraźliwie wzrastająca w najbardziej nawet kulturalnych krajach świata? I u nas nie mniej, niż gdzieindziej, roi się od występków tego rodzaju. I u nas nie brak dzieciobójczyń, które na drodze ponurej zbrodni uchylają się od obowiązków macierzyństwa.

A cóż dopiero mówić o codziennej litanji zwykłych występków, które rozmnożyły się i najczęściej nie budzą już tej odrazy, jaką budziły dawniej...

— Nędza, bieda, niedola... — tak tłumaczy się to między innemi.

Czyż tylko nędza, bieda i niedola? Czyż nie należałoby źródeł tego upadku szukać na tle ogólnego obniżenia poziomu moralności ludzkiej i, myśląc o ulżeniu niedoli bliźniego, leczyć także i odurzone czadem powojennym dusze? *Famulus*

O pocałunku

feljeton karnawałowy



Pocałunek!... Każda epoka, każdy naród, każdy kraj i każdy język opiewa go po swojemu.

Jest już w Biblji.

Stąd przyjmuje go chrześcjańska religja

Pocałunek „pokoju“ i pocałunki wielkanocne przetrwały po dzień dzisiejszy u niektórych ludów słowiańskich. W epoce średniowiecza pocałunek staje się jak gdyby symbolem wzmocnienia umowy lub obietnicy. Do tej kategorji należy odnieść także oficjalny pocałunek ślubny, oczywiście pomijając wszelkie nieoficjalne, o których można mówić tylko w liczbie mnogiej.

Ciekawe są zdania różnych narodów o pocałunku. Dość choć powierzchownie przebiec literaturę.

Francuz, rzecz naturalna, mówi o pocałunku ze zwykłą sobie gracją i figlarnością.

— Dwa pocałunki — pisze Bourget — są to dwie kule, które nigdy nie trafiają do celu.

Edmund Rostand bardzo ładnie, może nawet najpiękniej określa pocałunek:

— Dusza wznosi się do owalu warg i oddaje się do niewoli przez upojny pocałunek.

Bardzo gorąco wypowiada się Paul Verlaine:

— Pocałunek, to ognisty akompanjament na klawiaturze zębów do tych cudownych pieśni, jakie miłość śpiewa płomiennemu sercu.

Wcale nie surowo sądzi o pocałunkach i włoch Rovetta:

— Usta kobiety nigdy nie zbrzydną i nie stracą na wartości od pocałunku.

Hiszpanie mają specjalne przysłowie ludowe, które powinno spotęgować chęć do całowania w ich kraju:

— Jeżeli matka boczy się na ciebie za otrzymane pocałunki, to, moje dziewczę, jak najprędzej zwróć je z powrotem.

Niemcy wykazują bardzo różowy nastrój. Podług nich „pocałunek lśni na wargach każdej dziewczyny, jak róża, która pragnie, aby ją zerwano“. Dowcipny zaś Heine daje następującą radę:

— Jestem wielbicielem kwiatów i pocałunków, a czego nie dają mi dobrowolnie, to kradnę.

Dziewczynie z ludu tylko pocałunek nie wystarcza, przyczem powinna być i broda. Tak skarży się przynajmniej młody parobczak w ludowej rumuńskiej piosence.

— Młody jestem dla ożenku, nie mam brody wcale.

I północne dziewczęta twierdzą:

— Pocałunek bez brody ma taki smak, jak jajko bez soli.

Szmer, towarzyszący pocałunkowi, także rozmaicie jest określany w różnych ludowych pieśniach. W jednych charakteryzuje się, jako plusk fal, w innych, jako poszum listowia, a w niektórych nawet... jako stukanie drewnianych pantofli.

Wogóle jednak wszędzie panuje to przekonanie, że „wielbienie pocałunków nikomu nie może być zabronione“, a kobieta w każdym wypadku ma prawo żądania zwrotu skradzionych całusów. Bardzo obrazowo ilustruje ten pogląd jedna z ludowych piosenek o młodej parze, poważnionej przez intrygi. Młodzi zwracali sobie listy; było to wieczorem, o zmierzchu; list za listem wędrował z jednej ręki do drugiej. Przed rozstaniem jednak młodzieniec rzucił pytanie: „A czy nie należałoby zwrócić sobie pocałunków?“. Dziewczę poczerwieniało... a gdy się zaczęli całować, zapomnieli o intrygach.

W ciekawym studjum: „Pocałunek i jego historja“ kradzież pocałunków oświetlona jest nawet ze strony prawnej.

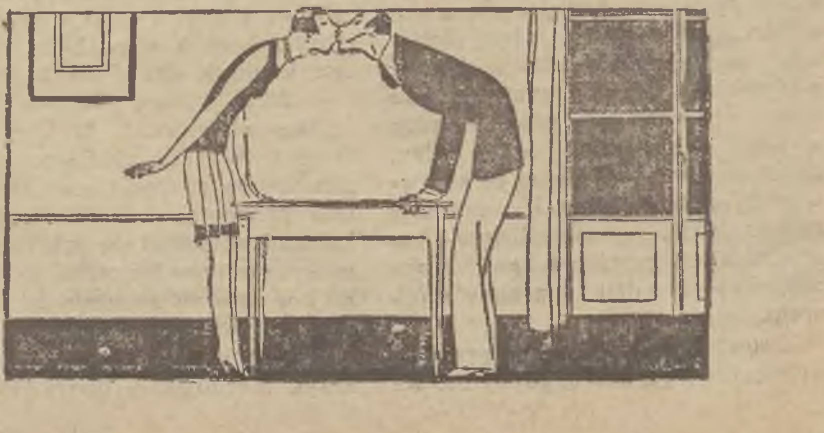
W 1873 roku mister Thomas podał skargę na szlachetną miss Karolinę Newton, która za skradziony pocałunek ugryzła go w nos. I cóż? Mister Thomas sprawę przegrał, ponieważ szeryf edynburski tak umotywował swój wyrok.

— Jeżeli mężczyzna całuje kobietę wbrew jej woli, to poszkodowana ma prawo zupełnie odgryźć mu nos.

Na szczęście nie wszystkie miss hołdują poglądowi sędziego; gdyż w przeciwnym wypadku żaden Anglik nie posiadał by nosa.

Dużo jeszcze możnaby pisać o pocałunku i pocałunkach, lecz pocałunek należy do tej kategorji wydarzeń, o których się mniej pisze, a kie teorje w tej dziedzinie, a jeden rozkoszny pocałunek miękkich, a ksamitnych warg jest więcej wart, niż grube tomy mądrości, poświęcone tej kwestji.

Famulus.





Za panowania królowej angielskiej Wiktorji skazano jedynego krawca w maleńkiem miasteczku za zabójstwo na karę śmierci przez powieszenie.

Mieszkańcy miasteczka wystosowali do królowej prośbę o ułaskawienie skazanego. Prośba kończyła się następującemi słowami:

...Mamy w naszem mieście dwóch kołodziejów i jednego tylko krawca. Jeżeli Wasza Królewska Mość uzna za niemożliwe darowanie życia nieszczęsnemu naszemu współobywatelowi, to może zechce, przychylając się do naszej gorącej prośby, powiesić jednego z wyżej wspomnianych kołodziejów. Nam jeden wystarczy, bo na dwóch za mało tu roboty. A bez krawca obyć się nie możemy.

*

Wacław Szymanowski, chlubnie znany w swoim czasie poeta i literat, ongi redaktor i odnowiciel „Krjera Warszawskiego", posiadał jedną słabostkę, był cokolwiek zarozumiały, szczególnie na tym punkcie, że cała Warszawa, ba! całe Królestwo Polskie zna go i wie, że jest sławnym redaktorem „Kurjera".

Na tem tle kursowały swego czasu wcale dowcipne anegdoty, a o to jedna z nich:

Pewnego razu Szymanowski, idąc w towarzystwie pewnego młodego literata, zaszedł do antykwarjusza, uprzedziwszy przedtem swego towarzysza, że antykwarjusz ten napewno go zna, jako sławnego redaktora.

Wchodzą do antykwarjusza, a Szymanowski zapytuje go:

— Pan zapewnie mnie poznaje?

Antykwarjusz zafrasowany zaczyna przyglądać się przybyłemu i milczy.

— No, pomogę panu... Plac Teatralny!

Antykwarjusz wciąż milczy.

— No, wprost teatru... na Wierzbowej ulicy, — mówi zniecierpliwiony już trochę Szymanowski.

— Aha! wiem już, — zawołał uradowany antykwarjusz, — pan jesteś... Brajbisz!

Konsternacja!

Należy dodać, że wówczas w sąsiedztwie domu, w którym mieściła się redakcja „Kurjera Warszawskiego" przy ul. Wierzbowej (Plac Teatralny), znajdowała się popularna knajpa niejakiego Brajbisza.

*

W połowie ub. stulecia na tle pewnej, zresztą bogatelnej sprawy kursowała świetna anegdota. Pewien kataryniarz, zły, że jakiś pies przybłęda, stanąwszy obok jego katarynki, zawzięcie zaczął wyć, schwycił leżący kamień i rzucił nim w psa, lecz tak niefortunnie, że zamiast w psa trafił w wielką, lustrzaną szybę sklepu niejakiego Chociszewskiego.

Oczywiście, bynajmniej niezadowolony z tego właściciel sklepu zatrzymał kataryniarza, poczem nastąpił protokół policyjny, a w ślad za nim sprawa sądowa o dość znaczną sumę za zbitą szybę wystawową.

Kataryniarz przegrał sprawę, pomimo że twierdził, iż katarynka nie należy do niego, lecz jest wynajęta, więc odpowiedzialność za stratę ponieść powinien właściciel katarynki. Nie zadowolony z wyroku, skazującego go na zapłacenie straty, kataryniarz zaapelował do wyższej instancji, przypozwawszy do sprawy właściciela katarynki, żyda z Pragi.

W sądzie apelacyjnym, pomimo kilku głosów sędziów, nie mogących dopatrzeć się w żaden sposób związku pomiędzy faktem rozbicia szyby przez kataryniarza a właścicielem katarynki, głos przewodniczącego sędziego Majewskiego, znanego antysemity, przeważył, i żyd, właściciel katarynki, został skazany na zapłacenie za szkodę, dokonaną przez kataryniarza.

Po pewnym czasie jeden z sędziów W. Jezierski, spotkawszy na ulicy Majewskiego, ostrzegł go, żeby miał się na baczności, gdyż skazany żyd, właściciel katarynki, odgraża się, że obije Majewskiego potężnym, sękatym kijem.

— Pójdzie do kryminału, jeżeli poważy się podnieść na mnie kij, — odrzekł z niezamąconą powagą i zimną krwią Majewski.

— Ależ nie, nic mu nie będzie, — odrzekł Jezierski.

— Jakto?

— Rzecz prosta! żyd ów ma zamiar pożyczyć sobie owego kija od tokarza. Według więc jurysprudencji kochanego kolegi, do kryminału pójdzie tokarz, a nie żyd, który obije cię pożyczonym od tokarza kijem.

*

Przed laty, za czasów jeszcze polskiego sądownictwa, t. j. przed 1876 r., w krużgankach i sieniach ówczesnych gmachów sądowych znane były postacie „pokątniaków" Weissów, ojca i syna. O ile stary Weiss posiadał jeszcze szczyptę pewnego rodzaju etyki i jakie takie maniery, o tyle „młody" Weiss był ich zupełnie pozbawiony. Jest on prototypem późniejszego bardzo rozpowszechnionego typu pokątnych doradców, grasujących bezkarnie po wprowadzeniu t. zw. reformy sądownictwa czyli sądów rosyjskich.

Otóż młody Weiss był zasadniczo wrogiem wszelkich polubownych tranzakcyj i komplanacyj, jako że lubił tylko w mętnej wodzie łowić rybki, a wszelka zgoda czy porozumienie pozbawiało go możliwości owego połowu. Pewnego razu w jednej z bardzo zawiłych a wielkich spraw, która została już „wprowadzona", gdy obrońcy spraw, stanąwszy przy kratkach, przygotowywali się do rozprawy, wpada naraz do sali sądowej Weiss, cały wzburzony, czerwony na twarzy, z roziskrzonemi oczami i z wściekłością szepce do ucha obrońcom:

— Nic ze sprawy! stało się wielkie świństwo! strony się pogodziły!

*

Kardynał Mazarini, następca Richelieu'go na dworze Ludwika XIII, był otoczony całemi zastępami zawistników i nie cieszył się również zbytnią popularnością wśród ogółu ludności. Wiedząc, iż przeciwnicy jego piszą o nim niezliczone oszczerstwa i satyry, które rozsiewają po Francji, wydał jednego dnia surowy, grożący ciężką karą, zakaz drukowania tych pamfletów i jednocześnie rozkazał skonfiskować wszystkie znajdujące się w obiegu egzemplarze i sobie je natychmiast dostarczyć. Zebrawszy bardzo pokaźną ilość paszkwili rozesłał po całym kraju armję tajnych agentów z poleceniem sprzedawania tych jakoby zakazanych oszczerstw za drogie pieniądze swym największym wrogom, którzy, naturalnie, z rozkoszą je nabywali. Ta nieco niezwykła, ale nader zręczna tranzakcja przyniosła łasemu na zyski Mazariniemu przeszło 10.000 dukatów.

Pierwotny człowiek w XX wieku

W jednej z fantastycznych swych powieści Wells posadził nas na szczególną maszynę, by przenieść nas wstecz poprzez okresy historji aż do najprymitywniejszej epoki jaskiniowej.

Przy dzisiejszej łatwości lokomocji, maszyną tą może być samolot, który łatwo może nas przenieść z krajów kultury w okolice, gdzie cywilizacja nie uczyniła najmniejszego postępu.

Tym środkiem lokomocji posługiwał się Amundsen, by dotrzeć do stref polarnych, tego sposobu użyli również uczeni entografowie, doktór M. B. Stirling z Kalifornji i doktór Van Leewin z Holandji, którzy, ku zdumieniu tubylców, wylądowali na hydroplanie w niezbadanej dotychczas części Nowej Gwinei.

Oto Dajakowie z Borneo. Wioska zapadła w gąszczach puszczy, domki bambusowe, których krokwie opierają się na czaszkach ludzkich. Czaszki zwieszają się również girlandą naokoło dachu.

Dajak, zamiast bukietu, składa u nóg ukochanej kilka świeżo ściętych głów. Gdybyż te krwawe trofea były przyniesione z pola walki!!

Dajak jest drapieżny i podstępny. Podchodzi ludność na nizinach, napada znienacka, ścinając dziko głowę.

Battakowie z Sumatry, Papuasi z Nowej Gwinei żyją podobnie do naszych przodków z przed 4.000 lat. Domostwa prymitywnie zbudowane na palach tkwią w nurtach jezior, daleko od brzegów, by tym sposobem ustrzedz się od napadu dzikich zwierząt, złośliwych gadów i owadów.

O 60 klm. od portu Adelaida, w płd. Australji żyją w lasach dzikie plemiona, które chętnie pożerają węże i kangury na surowo; przysmakiem dla nich są owady i zgniłe jajka.

Takie same obyczaje spotykamy na wyspach Fidżi, na archipelagu Bismarcka, gdzie mięso ludzkie uważane jest za największy przysmak.

Kobieta z tych plemion odgrywa najpośledniejszą rolę, biorąc na swe barki wykonanie najcięższych robót, zamieniając nawet zwierzęta juczne.

Podobnymi do przedhistorycznych Troglodytów są niektóre szczepy z Tonkinu. Język ich nie wiele różni się od dźwięków zwierzęcych, żywią się muszlami.

Birmanowie i Ajnosi podobni są do legendarnych, potwornych karłów, o zwyrodniałej budowie ciała, olbrzymiej głowie i krótkich krzywych nogach.

Świat jest wielki i niezbadany, a etnografja ludów jest najdziwniejszem muzeum osobliwości.

WIKTOR PRZECŁAWSKI

Powstańcy r. 1863 na zesłaniu

(Z notatek zesłania)

I

Autor niniejszej notatki wstępnej, dr. Wiktor Przecławski, zaproponował nam wykorzystanie bogatego materjału, znajdującego się w jego posiadaniu.

W następnych numerach podamy uzupełnioną listę zesłańców, również pomieszczać będziemy szkice poszczególnych postaci.

Przypuszczamy, iż publikacja ta winna zainteresować szeroki ogół czytelników, a w pierwszym rzędzie rodziny zesłańców, które prosimy, by raczyły skomunikować się z nami, celem skompletowania danych.

Nie jest bowiem wykluczone, iż będziemy mogli zebrać i wydać opracowane w ten sposób materjały w formie oddzielnej publikacji.

Redakcja

Rewolucja Kiereńskiego w Rosji niespodziewanie udostępniła materjały, spoczywające w mrokach gubernjalnych archiwów rosyjskich, a zawierające w krótkiej i suchej formie urzędowej niezwykle ciekawe dane, dotyczące prześladowań politycznych w Rosji, a więc także naszych zesłańców. Rzucony losem w głąb Rosji miałem możność (w r. 1917) przy czynnej i pracowitej pomocy inżyniera Emila Kaplińskiego przejrzeć i odpisać nader ciekawe dane, dotyczące dwustukilkudziesięciu powstańców z r. 1863. Materjały te udało mi się przywieźć do Warszawy. Opracowałem je odpowiednio, starałem się publikować. Lata jednak minęły, i materjały te są nadal tylko... materjałami. Przystępując obecnie do ich (częściowej) publikacji, mam na celu uzyskanie możności opublikowania kiedyś całości w dokładnem i szczegółowem opracowaniu.

Materjały, o których obecnie mowa, znajdują się w archiwum gubernjalnem w Wiatce. Oficjalnie noszą one tytuł „swiedienij" (wiadomości) o polskich przestępcach politycznych i zawierają rozmaite (często obszerne i szczegółowe) dane, dotyczące każdego „polskiego buntownika", który przez Wiatkę przeszedł, chwilowo czy dłużej w niej przebywał, czy nawet tylko przez nią przejeżdżał. Dane te notują zawsze: imię i nazwisko, pochodzenie, stopień wykształcenia, stosunki rodzinne, rodzaj „winy i kary", stan majątkowy, zachowanie się na zesłaniu i t. d. Jestto więc jakby katalog powstańców, który, odpowiednio opracowany, stanowić będzie



Papuas w rynsztunku bojowym: łuk, oszczep, długi, zakrzywiony nóż, a naokoło pasa osobliwy pancerz



Profesor Mateusz B. Stirling w towarzystwie 2 papuasów. Zwoje lnu naokoło pasa nie tyle służą za atrybut odzieży, ile przeznaczone są do ochrony ciała od strzał wroga



Papuasi nie uznają równości praw kobiety. Ilustracja nasza przedstawia jedyny klub męski w Bisano „Dom Ducha", do którego kobiety nie mają wstępu

niezwykle cenny i ciekawy przyczynek do historji naszej insurekcji. Podając poniżej nazwiska tych, o których w najbliższych zeszytach pisać będziemy, komunikujemy czytelnikom, że z wielką wdzięcznością przyjmiemy wszelkie dane (odpisy dokumentów, fotografje i t. d.), dotyczące tych osób. A więc wyliczamy je kolejno i przypominamy, że o dziś tu wymienionych pisać będziemy w najbliższych zeszytach:

1) Oskar Awejde, 2) Józef Antonowicz, 3) Stanisław Adamski, 4) Mikołaj Anderski, 5) Konstanty Adamski, 6) Arciszewski 7) Władysław Bańkowski, 8) Stanisław Butkiewicz, 9) Mieczysław Bardecki, 10) Jakób Bujno, 11) Józef Borowski, 12)Antoni Bujniewicz, 13) Antoni Byszewski, 14) Juljan Bortkiewicz, 15) Ignacy Biedrzycki, 16) Jan Bieńkowski, 17) Bolesław Bortkiewicz, 18) Józef Balion, 19) Józef Boczewski, 20) Piotr Bogdanowicz, 21) Karol Wołodkowski, 22) Jan Baranowicz, 23) Piort Baranowski, 24) Piotr Wilkowski, 25) Ignacy Wykowski, 26) Mateusz Wiatrowski, 27) Józef Wojsiatycz, 28) Stanisław Walewski, 29) Wielhorski hr. Michał, 30) Wielhorski hr. Mieczysław, 31) Onufry Wileński, 32) Józef Gurbski, 33) Jakób Giejsztor, 34) Witold ks. Giedrojć, 35) Walery Gruszczewski, 36) Mikołaj Gruszczewski, 37) Zygmunt Grzybowski, 38) Mikołaj ks. Giedrojć, 39) Stanisław Hryniewski, 40) Albert Herz, 41) Jan Dylecki, 42) B. Dobrzański, 43) Stanisław Dudziak, 44) Aleksander Dziemianowicz, 45) Bolesław Doczewski, 46) M. Downarowicz, 47) Jan Dubownik, 48) Antoni Jeżowski, 49) L. Jeleniewski, 50) Kazimierz Życzkowski, 51) Karol Żółkiewski, 52) Józef Zaremba, 53) Adam Zadarnowski, 54) Grzegorz Zabłocki, 55) Józef Jordański, 56) Henryk Iwański, 57) Klemens Izbicki, 58) Iwański, 59) A. Kowalski i 60) M. Kowalski.

Wszyscy wyżej wymienieni brali udział w powstaniu 1863 r. Dalsza lista w następnym numerze.



Grób J. Popławskiego, powstańca 1863 r. w Słobodzku pod Wiatką.



Odnawianie wież Katedry Warszawskiej Fot. K. Pęcherski.



Nietylko karabiny, ale i sikawki... Wojska angielskie w Han-Kou



„Być, albo nie być"..
Wice-Premjer Bartel w swoim gabinecie Fot. Sarjusz-Wolski.



Fot. J. Malarski.
Premjera w Teatrze Letnim
„W Rajskim Ogrodzie"



Doroczny bal studentów Szkoły Sztuk Pięknych Fot. K. Pęcherski.



Otwarcie Indyjskiego Parlamentu w Delhi



Minister marynarki Leygues dekoruje por. Bernard, który dokonał lotu Berra—Madagaskar—Paryż ponad Afryką (26.000 klm.)



Desant wojsk amerykańskich w Nicarugua



New York w nocy



Potęga oszczędności. Fot. Prasa.
Ogonki przy kasie wpłat P. K. O. po 1-ym miesiąca

Sport

Przed międzynarodowemi zawodami narciarskiemi w Zakopanem



PIERWSZE KROKI... Członkowie „Alpensportklubu“ w Pontresina (Szwajcarja) odbywają pierwsze ćwiczenia.

Według ostatnich wiadomości otrzymanych przez nas z Zakopanego, doroczne narciarskie mistrzostwa Polski zapowiadają się wprost imponująco.

Zjazd zawodników z zagranicy jest bardzo liczny. Między innemi, przybyła ekspedycja szwedzka, składająca się mistrza Lwowa Lindströma, Stolpego i Karlsena.

Dzisiaj przybyli końmi przez Jaworzynę zawodnicy czechosłowaccy w liczbie 14-u. Wśród nich znajduje się Purkert — mistrz Europy w narciarstwie.

Zawodnicy austrjaccy przyjeżdżają w piątek. Z zawodników wojskowych przyjechał patrol rumuński i czechosłowacki. Oba patrole startują jutro w biegu 30 klm ze strzelaniem. Nasz patrol polski, jak również i czechosłowacki — bardzo silne.

Do biegu na 50 klm. staje 21 zawodników.

Na zawody zjechało do Zakopanego bardzo dużo osób, między innemi — szereg przedstawicieli świata dyplomatycznego (poseł angielski, wojskowi czechosłowaccy). Przyjazd dalszych dostojników i osób cywilnych jest oczekiwany.



SKOK NARCIARSKI
Skoczek utrzymuje rękami równowagę w powietrzu

Warunki atmosferyczne doskonałe. Koło 50 cm. śniegu, 1 stopień mrozu (d. 16.II).

NOWY TRIUMF POLSKI ZAGRANICĄ

Podczas rozegranych ostatnio wielkich międzynarodowych zawodów narciarskich o mistrzostwo Francji, świetna nasza sportsmenka pani Loteczkowa okryła barwy polskie niezwykłą chwałą. Oto w biegu dla pań, przy poważnej konkurencji 17-u narciarek, zajęła ona pierwsze miejsce, zdobywając temsamem zaszczytny tytuł Mistrzyni Francji w narciarstwie na rok 1927.

OTWARCIE OŚRODKA WYCH. FIZYCZNEGO

W gmachu byłej szkoły Podchorążych odbyło się uroczyste otwarcie sali gimnastycznej ośrodka wychowania fizycznego na Warszawę, pozostającego pod kierownictwem kpt. Grosa.

Otwarcia dokonał gen. Wróblewski. Poza gen. Wróblewskim przemawiali płk. Ulrych i delegat Ministerstwo Oświaty. Na zakończenie odbył się pokaz gimnastyki pod kierunkiem kpt. Kurlety oraz pokaz szermierki.

WALKI ZAPAŚNICZE

Żaden dotychczas dzień walk nie odbył się z takim zdenerwowanie i wrzaskiem publiczności, jak poniedziałek 14 lutego r. b.

Bywalcy cyrku posiadają: sympatję w osobie Sztekkera i antypatję Debie'go, nic więc dziwnego, że gdy na arenie spotkały się te dwie muskularne potęgi, musiało dojść do awantury.

Prowadzący nadzwyczaj brutalnie walkę Debi, pchnął taktownie walczącego Sztekkera na barjerę, tak nieszczęśliwie, że ten zemdlał. Po przyjściu do przytomności Sztekker chwiejąc się na nogach kontynuował walkę, w następstwie czego po paru sekundach został pokonany.

Galerji, i tak już zdenerwowanej postępowaniem Debie'go wystarczyło to by wybuchnąć. Na brutalnego niemca posypał się grad pocisków w postaci kul papierowych, pudełek z zapałkami, a nawet cegła.

Obecni na sali lekarze uznali, że Sztekker po podjęciu walki, był wskutek uderzenia oszołomionym.

Na zasadzie opinji lekarzy sędziowie uniemożliwili porażką Sztekkera.

*

We wtorek 15 b. m. walczył z Pooshaffem ten sam co i poprzednio ze Sztekkerem atleta — Debie..

Publiczność powitała go gwizdami, wobec których świsty lokomotyw amerykanskich byłyby niedosłyszalnemi odgłosami.

Debie tłukł Posshofia kułakami, wsadzał mu palce w oczy, co przyjęte zostało kartoflami i jabłkami, przygotowanemi zawczasu, przez przezornych bywalców cyrku.

Podkomisarz, wobec tego, że i Posshoff zaczął odpłacać Debie'mu pięknem za nadobne, nakazał zaprzestać walki, co oczywiście spotkało się ze sprzeciwem galerji. W stronę komisarza frunął kartofel, a potem bułka, galerja żądała zakończenia walki i... jej żądaniu stało się zadość.

Walka prowadzona w następstwie już przepisowo, zakończyła się porażką Debie'go.

NASI TENNISIŚCI

Czetwertyński dzielnie broni prestige'u mistrza Polski. Przegrał on jedynie 4 razy i to do tennisistów tej miary, co Behr (12 gracz U. S. A.), Mayes (były mistrz Anglji), Worm (mistrz Danji) i Cochet (trzeci tennisista świata), co ujmy naszemu młodemu mistrzowi nie przynosi; z innymi tennisistami Czetwertyński wychodził dotychczas zwycięsko.

Zresztą podobnie jak Kleinadel, Czetwertyński ma już we Francji ustaloną markę, co wyraża się w zaliczeniu go przez Związek do pierwszej klasy francuskiej.

Obecnie koła tennisowe Riviery ułożyły listę 10 najlepszych tennisistów obecnego sezonu na „jasnym brzegu", która przedstawia się następująco:

1) Cochet, 2) Brugnon, 3) Behr (V. S. A.), 4) Mayes, 5) Worm (Danja), 6) Aeschliman (Szwajc.), 7) Czetwertyński, 8) Prasada (Indje arg.), 9) Morpurgo (Wł.), 10) Artens (Austrja). Jest to dla Czetwertyńskiego miejsce bardzo zaszczytne, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że na Riwierze przebywa obecnie około 200 tennisistów z całego świata.

Do rozgrywke o puhar Davis'a wystąpimy przeto z większemi szansami niż w roku ubiegłym. Trójka: Czetwertyński, Kleinadel i Prenn — to firmy bardzo poważne!

KIILKA SŁÓW O BOKSIE

Sport ten nie zyskał sobie jeszcze prawie obywatelstwa w Polsce, w przeciwieństwie do zagranicy, a szególniej krajów anglo-saskich, gdzie jest rozpowszechniony tradycyjnie od szeregu lat.

Zawodowi bokserzy są tam bożyszczem tłumów, przepłacających kolosalne sumy, by tylko móc być świadkami zawodów, stawiając olbrzymie sumy na zakłady.

Nic też dziwnego, że bokserzy są tam często bogaczami osiągającymi rekord szybkości w zdobywaniu fortuny.

W Ameryce, gdzie murzyni traktowani są przez białych z pogardą, graniczącą z nienawiścią, bokser, chociażby był czarnym obywatelem jest traktowany z całem uznaniem przez widzów.

Zdarzają się także i inne objawy, jak to miało miejsce np. po meczu Jeffries—Johnson, który wywołał formalny pogrom czarnej dzielnicy, jako odwet za zwycięstwo murzyna nad ulubieńcem Jeffries'em.

Boks, jak każdy sport posiada bogatą teorję przeróżnych cross'ów, hook'ów, uppezent'ów i t. d., przyczem metody walki związane są z tradycjami.

Porównajmy np. metodę angielską i amerykańską.

Anglik trzyma się taktyki defensywnej, pięści przy tułowiu, nogi mocno osadzone na miejscu.

Amerykanin kieruje się natomiast metodą ofensywy, wielce nużaca, gdyż bokser działa tu wybitnie rzutem całego ciała, ustawicznie doskakując do przeciwnika

Oprócz klasycznych uderzeń, każdy bokser posiada zapas indywidualnych „kawałów", jak np. słynny ongiś Fitzsimons, improwizator „karkociągu", wymierzonego w górna komorę brzuszną w okolice „nervus plexus", co powodowało w większości wypadków utratę przytomności.

Willit Lewet stosował „double", polegający na direct'ie w twarz z dodaniem bezpośredniego cross'a w szczękę.

Utrzymanie sie w formie wymaga surowego „regime'u" z pewnością ściślejszego, niż przy innych sportach.

Wstawać rano, przy uwzględnieniu wszakże conajmniej 99-godzinnego snu, gimnastyka treningowa, by rzucić zbędny balast tłuszczu; wypocenie się, sporty poboczne, jak rower, lekka atletyka i t. p. wreszcie ćwiczenia na „funching-ball'u".

Jedzenie skromne, lecz dostateczne, przyczem pierwsze miejsce oddaje sie mięsu i jarzynom, jak również esencjonalnym wywodom mięsnym.

Następny punkt programu poświęcony jest gimnastyce, i treningowi zawodowemu, bardzo przykrej funkcj dla trenera, grającego tu rolę martwego punching-ball'u.

Niejeden bokser był w prawdziwym kłopocie, gdy chodziło o znalezienie trenera, któryby mu chciał poświęcić nos i zęby.

Oprócz siły fizycznej i rutyny, bokser nie rzadko ucieka się do wybiegów.

Kid Mac Coy, walcząc pewnego razu z Tom Ryan'em, zniecierpliwiony powolnością tempa wybuchnął nagle śmiechem.

Zdetonowany przeciwnik zapytał o co chodzi?

— Spodnie ci z tyłu pękły, — powiada zanosząc się od śmiechu Mac Coy.

A gdy Ryan odwrócił się, dosięga go potężnym ciosem w szczękę.

Szybkość decyzjo i czynu są niezbędną zaletą boksera.

3—4 sekundy, znienacka przygotowany atak, knock-ont... laury zwycięzcy, sowicie obsypane złotem.

*

Słynny bokser Dempsey, zranił sie ciężko w rękę, wskutek czego nastąpiło zakażenie krwi. Niema podobno nadziei, aby Dempsey mógł jeszcze kiedykolwiek walczyć na ringu.

Major Campbel, zgodnie z zapowiedziami pobił automobilowe rekordy światowe na 1 klm. i 1 milę ang., należące do Harry Thomasa.

1 klm. przebył on w czasie 12 i 791/1000, średnio 281 klm. 378, dawny rekord 275 klm. 229.

1 milę — 20 i 663/1000, średnio 280.382.

Jego samochód „Bluebird" zaopatrzony jest w motor o sile 500 HP. W czasie jazdy parcie powietrza zrzuciło Campbellowi okulary ochronne z oczu.



ZE SCENY

TEATR NARODOWY

„Zbójcy" Schillera.

Niewiadomo czem się kierowała i na co liczyła dyrekcja teatru Narodowego, wyciągając z archiwum zapylonych „Zbójców".

Cóż znaczy dramat Moorów w porównaniu z tragedją współczesnego Maślanego, który wymordował całą rodzinę Witkowskich?

Schillerowi należy się cześć, ale jego dramat nie potrafi już wzruszyć powojennego widza.

To też nieliczni słuchacze bez emocji oglądają „Zbójców", bardziej „dla tradycji", niż z zainteresowania.

Wykonanie jest również mało emocjonujące.

Nawet obsada, jakkolwiek reklamowa, nie zdolała rozwiać apatji widzów. Węgrzyn, piękny i głosowy „Król", przekonywał nas, ale nie porywał. Brydziński, ten wspaniały tragik, również nie budził ani zgrozy, ani wstrętu. Jaroszewska miała kilka momentów miłych, zwłaszcza w scenie w altanie, i tęskną pieśń zanuciła bardzo miłe. Nic pozatem. Trochę zawcześnie na rolę Amalji. Pozostałe role obsadzone i wykonane bez zarzutu. Statyści zdyscyplinowani. Oprawa dekoracyjna, ładna. M. S.

TEATR „QUI PRO QUO"

Rewja „No, to chodź pan!"

Energiczny i sprężysty dyrektor Boczkowski dał sobie radę nawet w tak niebezpiecznym wypadku, gdy musiał prowincji wypożyczyć, zresztą na krótki czas, Ordonkę, Jarosy'ego, Parnellów i skonstruował program bardzo miły i bezpretensjonalny. Dzielnie mu w tem pomogli urocza Zimińska i uniwersalny Bodo, który jako „marnotrawny syn", wrócił do „Qui pro quo".

Pani Zimińska czarowała swoim wdziękiem, szczególnie w piosence „Moja sympatja", a takie numery, jak z nadzwyczajnym umiarem potraktowany duet „To tańczy Kuba-Kon", nigdy nie zawodzą. Niestety, pani Zimińska niezawsze jest należycie wykorzystana.



Dowodem tego jest mało zabawny skecz „klucz indyjski", w którym pani Zimińska nie miała nic do pokazania prócz ładnej piżamki.

A szkoda!...

Doskonały Bodo zyskał na humorze i powoli wraca do swojej formy.

Krukowski, jak zwykle bawił swojemi doskonałemi piosenkami, zbiór których powiększył o jeszcze jedną „Ona gada", pióra Marjana Hemara.

Bardzo miłą i wdzięczną drobnostką jest „Szkandal", w której zbierają zasłużone oklaski Buczyńska, Jaśkówna oraz Topolnicka, która ponadto bardzo ładnie odtańczyła japońską „Nipponetkę". Doskonała jest muzyczna przeróbka (A. Aspera) motywu góralskiego na modłę charlestonową.

Recytacja Buczyńskiej „Janosik" — to specjał dla znawców. Tak deklamować umie tylko Buczyńska.

Mili są Zdanowicz, Cybulski, Bolcio Kamiński i wreszcie Wojnar, który tym razem dał nam pomysłowy i zabawny taniec niedźwiadków i ułożył bardzo ładne i nieszablonowe ewolucje.

Dekoracje Galewskiego — non plus ultra.

Osobno kilka słów dyrygentowi orkiestry p. Wesby'emu. Ten zdolny młody muzyk odświeżył, dokompletował i energicznie prowadzi swój zespół orkiestrowy, który do tego czasu był trochę anemiczny. M. S.

MUZYKA

Z FILHARMONJI

Na piątkowym koncercie w Filharmonji (niewiadomo, czemu nazywa się „symfoniczny") usłyszeliśmy niewątpliwie po raz ostatni p. Grzegorza Ginzberga, laureata konkursu szopenowskiego, i Jerzego Briuszkowa.

Swoją interpretacją utworów solowych Szopena i Liszta p. Ginzberg na poprzednim koncercie dał nam dowód nietylko nadzwyczaj precyzyjnej techniki, lecz nawet niemałej inwencji duchowej.

Tym razem, niestety, rozczarował nas. Odegranie koncertu „es-dur" Liszta z towarzyszeniem orkiestry wypadło bardzo słabo, a to przez chwiejność tempa i rażącej niezgodności z akompanjamentem.

Inaczej ma się rzecz z p. Briuszkowym, u którego wykonywanie utworów solowych ustępuje interpretacji koncertów z orkiestrą.

A więc koncert „b-mol" Czajkowskiego wykonany został z polotem i bez niedokładności, które, niestety, raziły bardzo przy utworach solowych. Prawda, że przyczyna tych usterek tkwiła w skaleczonej i widocznie jeszcze niewyleczonej ręce, ale to nie rehabilituje artysty w naszych oczach, który, siadając do instrumentu, nie powinien zapominać, że ręce jego to jednak jedyny środek, za którego pomocą wyrazić ma swój nastrój.

Na niedzielnym popołudniowym koncercie grał pianista Jerzy Fanelli z Buenos Aires.

Ze zrozumieniem autora klasycznego, przy pięknem prowadzeniu kantyleny p. Fanelli wykonał koncert „c-dur" Beethovena. Grał po męsku, z powagą, aczkolwiek przy niewielkim tonie, lecz zato bez afektacji.

Na „bis" zagrał „Andaluzę" de Falla bardzo wdzięcznie. Na powodzenie zasłużył sobie. **Emes.**



KILKA SŁÓW O PRODUKCJI FRANCUSKIEJ

Produkcja filmu we Francji daleko nie dorównuje amerykańskiej, niemieckiej, lub włoskiej pod względem ilości. Francuzi jednak mają bodaj najwięcej danych do tworzenia iście monumentalnych, porywających filmów.

Dowodem tego znana serja arcydzieł, które wyświetlano na naszych ekranach „Koenigsmarck", „Atlantyda", „Cud Wilków", „Fijołki Cesarskie", „Carmen" i szereg znanych nazwisk reżyserskich, jak: Abel Gance, Bernard, Feyder.

Dzieł tych nie można uważać za „seryjne", gdyż daleko odbiegają od przeciętności wielu filmów amerykańskiej lub niemieckiej produkcji, obliczanej na „kalkulacyjny efekt" działania na masy.

Filmy francuskie są zawsze wykończone z pietyzmem, nie spotykamy w nich niedociągnień, ściśle pozostają w formach właściwego stylu.

Nie wyobrażam sobie, by wyświetlana niedawno „Cyganerja", której Amerykanie nie umieli dać cudnej świeżości romantyzmu, zrobili zaś zwykły melodramat ze sztucznem pociągnięciem momentów emocjonalnych, mogła w ten sam sposób wyjść z pod reżyserji Francuza.

Pojmowania reżyserskie są różne dla różnych psychologji narodowych, dowodem czego fakt, iż do firm francuskich delegowani są Amerykanie, by przed eksportowaniem danego filmu poczynić odpowiednie przeróbki, Francuzi zaś to samo czynią z amerykańskimi obrazami.

Filmy francuskie tchną niespożytą siłą romantyzmu, a przy głębokiem przywiązaniu do odrębnej techniki zewnętrznej, posiadają całkiem swoisty charakter. Reżyser francuski stara się wykorzystać naturalne światła w bezmiarach przestrzeni.

Niedawno zeszedł z ekranu film kreacji Freydera „Carmen", nie zawiódł on naszych nadziei, szczególnie wobec znakomitej interpretacji pięknej i żywiołowej Raquel Meller.

Oczekujemy teraz z zaiteresowaniem filmu „Gracz w Szachy", który winien się ukazać w tych dniach na ekranie. Film ten, kreacji Barnard'a, osnuty na temacie, związanym z naszą historją, był częściowo wykonany w Polsce.

Wyświetlanie większości filmów francuskich przez zapobiegliwą dyrekcję Kina Filharmonją przynosi zaszczyt tej zasługującej na poparcie inicjatywie.

EMIL JANINGS

Pierwsze występy popularnego Emila Janingsa, w 1911 roku, były rzec prosta bardzo skromne. 10 marek dziennie — o to pierwszy jego kontrakt, zawarty nie dlatego, by dyrekcja uważała go za fotogenicznego, ale potrzebowała artysty-akrobaty.



Karykatura Emila Janingsa w jednej z ostatnich ról

Janings zaś wówczas był takim „akrobatą" życiowym, bez środków do egzystencji, że długo się nie namyślał i... skakał jak mu kazano.

Debiut ten ledwo że nie skończył się tragicznie. Janings miał skoczyć z mostu do pociągu w biegu Skoczył, uczepił się buforów, aparat zdołał uchwycić scenę, ale Janings nie mógł dłużej się utrzymać i osunął się na szyny. Gdy mocno poturbowany, usiłował się podnieść ujrzał z przerażeniem nadchodzący pociąg. Cudem tylko ocalał, staczając się z nasypu.

Ten pierwszy niefortunny występ ostudził zapał młodego artysty, którego z ledwością namówiono do dalszej pracy.

Kilka lat później, dzięki poparciu energicznego i utalentowanego reżysera Lubicza zabłysnął w wytwórni Ufa jako pierwszorzędna siła.

CIEKAWE KONKURSY

Dyrektor firmy „Etablissements Aubert", p. Cari zaincjonował ciekawą ankietę — wśród miłośników kina.

Ankieta ta obejmowała następujące punkty:

1) jakie filmy produkcji 1926 roku są uważane za najlepsze.

2) który z artystów filmowych cieszy się największem powodzeniem.

3) czy epizodyczna forma filmu przypada gustowi publiczności.

13.000 osób wzięło udział w konkursie, wymieniając artystów w następującym porządku: mężczyzn — Valentino, Carlie Chaplin, Douglas Fairbanks, Charles de Rochefort; kobiety — Mary Pickford, Polę Negri, Raquel Meller, Lucienne Legrand, Arlette Marchal. Przypuszczam, że plebiscyt taki zaincjonowany w Polsce dałby podobne rezultaty.

ECHA ZAGRANICZNE

Znany reżyser niemiecki, Georg Jacoby, zaangażowany przez amerykańską wytwórnię filmową Universal, odbył ostatnio wielką ekspedycję filmową naokoło świata. W ekspedycji udział brało, oprócz reżysera, dwuch operatorów. dwuch kierowników technicznych i zespół artystyczny, składający się z 16 osób. Na tle przepysznych krajobrazów wszystkich części świata wyprodukowano dwa wielkie filmy, których tytuły brzmią nader zachęcająco: „Wyspa zabronionych pocałunków" i „Kobieta bez nazwiska."



Kilka dni temu Rada odczytowa Polskiego Radja obradowała nad ustaleniem dalszych programów odczytowych. Liczna korespondencja od radjosłuchaczów niewątpliwie przysporzyła Radzie tematu.

I my pozwolimy sobie w tem miejscu otworzyć skromną paranteze na ten temat.

Nie chcemy zbytnio krytykować dotychczasowych programów odczytowych. Tematy, jak: „Psychotechnika", „Jak budować pasieki" i t. p. są przeznaczone dla szerokich mas, które jednak minimalnie z nich korzystają, widząc w nich, jak wynika z korespondencji radjosłuchaców, suche tylko wykłady, interesujące poszczególne sfery.

Kolosalną natomiast lukę widzimy wskutek braku odczytów dostępnych, a jednak ogólnie kształcących, z pewnością mogących zainteresować rzeczywiście wszystkich.

W jednem z pism codziennych wyczytaliśmy, propozycję nadawania odczytów z dziedziny literatury, ilustrowanych odczytywaniem wyjątków z utworów.

Analogiczną propozycję wysuwamy, dotyczącą muzyki, a ujętą w formę odczytów ogólnych o muzyce z komentowaną ilustracją muzyczną.

Wszak tak wielu ludzi, a bodaj, znakomita większość lubuje się w muzyce na sposób czysto fonetyczny, nie mając najmniejszego przygotowania muzycznego.

Tak łatwo natomiast nauczyć i zachęcić słuchaczów do ujmowania sztuki w inny, daleko poważniejszy sposób.

W jednym z numerów czasopisma „Radjo" znajdujemy piękny przykład komentarza do Poloneza Fis-mol „tragicznego" Szopena.

Pozwolimy sobie zacytować ustęp ten in extenso, uważając właśnie, iż podobne komentarze i ilustracja muzyczna do radjowych odczytów, traktujących o muzyce, byłyby spotkane z powszechnem uznaniem.

„Jest to najwspanialszy z pośród polonezów chopinowskich; napisany pod wpływem głębokiego smutku po przegranej epopei 1831 r., polonez ten w przedziwny sposób maluje obrazy z pola bitwy. Przed oczyma słuchacza powstaje pogrzebana przeszłość, przez mgliste opary krwi wyłaniać się poczynają wizje dawnych zmagań. Oto Olszynka Grochowska. Po wstępnem trajkotaniu karabinów — chwila ciszy. Cisza przed burzą. Wtem grzmot. Słychać trzy ciężkie salwy armatnie. Zrywa się kawalerja. Poprzez huk armat przedziera się zwarte, rytmiczne natarcie całych mas jeźdźców i koni. Walą jedni z koni, narastają drudzy, całe oddziały szarżują; wre walka zażarta. Nagle wszystko się urywa, — pośród głuchego bicia armat zdumionemu słuchaczowi wydaje się, że słyszy takty mazurka, prostego i cudnego, jak wspomnienie najlepszych chwil...

To ostatnie westchnienie konającego żołnierza, któremu w przedśmiertnej męce zjawiła się wizja dawnych, szczęśliwych lat, wpośród pól zielonych. Ale nie czas na marzenia. Śmierć idzie. Wzdryga się żołnierz, czuje zimno nadchodzącego końca, a nad jego biedną głową ryczą grzmoty artylerji, pędzą baterje armat, aż wreszcie wściekły akord, wzięty niebywałem fortissimo zrywa gwałtownie cały poemat. Bitwa skończona. Żaden głos nie przerywa ciszy konania".

*

Prawi, zawzięci i wytrwali wielkopolanie, jak w wielu innych dziedzinach, tak w radjofonji, starają się dorównać stolicy, a nawet ubiedz ją pod niektóremi względami. Przystąpiono do budowy nowej radjostacji w Poznaniu, twórem samoistnym.

Nowa stacja mieści się nieco za miastem przy ul. Bukowskiej i ma już obie wieże, wysokości 57,5 m., prawie ukończone i obszerny estetyczny budynek stacyjny pod dachem. Budynek ten powstał w ciągu zimy i obecnie jest na ukończeniu. Prócz tego wewnątrz jego dzień i noc goreją żelazne piecyki koksowe, ułatwiające wiązanie się wewnętrznego tynkowania i osuszenia ścian.

Cała aparatura nadawcza jest już od dwóch miesięcy w Poznaniu i montaż jej rozpocznie się w najbliższych dniach. Studio będzie się mieściło w śródmieściu w lokalu Resursy Kupieckiej, przy pl. Wolności, tam też zainstalowane będą urządzenia mikrofoniczne i przeciągnięty będzie kabel od stacji nadawczej.

Moc nadawcza stacji poznańskiej wynosić będzie 2,5 kw., a 1 kw. w antenie. W razie konieczności da się jednak podnieść moc jej do 4 kw. Stacja pracować będzie na fali 270, 3 m.

*

Międzynarodowy zjazd związków artystycznych powziął ogromnie ważną dla wszystkich artystów uchwałę, na mocy której artyści wszystkich krajów mają prawo występowania w radjo bez zgody dyrekcji teatru, do której są zaangażowani.

Uchwała ta położy kres nieporozumieniom, jakie ewentualnie mogłyby mieć miejsce między dyrekcjami teatrów, a artystami wskutek różnego zapatrywania się na tą kwestję.

*

Rząd sowiecki powziął zamiar wybudowania olbrzymiej stacji radjonadawczej o sile 1000 kw. Dyrektor Laboratorjum w Niżnim Nowogrodzie, prof. Boncz-Brujewicz, któremu rząd powierzył to zadanie do wykonania, wypowiedział niedawno o tym projekcie swoje uwagi. Budowa stacji potrwa przynajmniej dwa lata. Gigantyczna ta stacja składać się będzie właściwie z czterech oddzielnych objektów po 250 kw., które będą mogły pracować bądź oddzielnie, bądź razem. Jako miejscowość obrano na ten cel wieś: Kasziwa-Szatura, ponieważ wcale nie jest pożądane, aby urządzenia tak wielkiej stacji znajdowały się w Moskwie lub w pobliżu jakiegokolwiek większego miasta, w którym skupia się wielka ilość stacyj odbiorczych. Prof. Boncz-Brujewicz jest zdania, że promień zasięgu detektorowego tej olbrzymiej stacji będzie miał około 2.000 kilometrów.

*

W Stanach Zjednoczonych wydano 600 licencji na stacje nadawcze. W samym Nowym Jorku istnieje 50 stacyj nadawczych, a dalszych 12 ubiega się o koncesję. Wskutek braku „miejsca" w eterze, niektóre stacje pracują na tych samych falach. Ten nadzwyczajny rozwój stacyj nadawczych, należy przypisać chęci zainteresowania słuchaczy rozmaitemi sprawami — prywatnemi. Firmy prywatne, dla reklamy, laboratorja dla doświadczeń, sale kocertowe celem ściągnięcia publiczności, wreszcie kościoły dla swych wiernych korzystają z własnych stacyi nadawczych.



Ze świata mody



Bluzowanie ponad linją bioder jest powszechnie spotykane.

Bardzo noszone są paski z materjału, wpuszczone do wewnątrz.

Jeśli linja, jak widzimy, jest prosta, to zato największa panuje rozmaitość w dziedzinie materjałów przeważnie kombinowanych, dzięki ostatniej technice tkackiej. Nazwy materjałów przyprawiają o zawrót głowy. Tussakasha, Friska, Maurélia, Toile Buranicź Tamiska i t. d.

— — — — — — — — —

Czy nie za bardzo Panów zmartwiliśmy? Pragnąc się zrehabilitować obiecujemy w przyszłym numerze dać coś dla Panów, by mogli przeciwstawieniem niezbędnego własnego „funduszu odbudowy", ostudzić zapały małżonek.

Bardzo przepraszamy Panów, że może przedwcześnie zabieramy głos w tej sprawie, ale przypuszczamy, że Panie zdążyły napomknąć już o tym nowym kłopocie.

Niedługo futra wrócą do przechowania — wyloni się sprawa paląca lżejszych okryć.

Memento groźne, choćbyśmy obiecali, że ze starego można przerobić, tu dodać, tam ująć, byleby tylko... nowy kołnierz, nowa podszewka, fason i t. d., co w rezultacie niemniej wyniesie, niż nowe.

Palta wiosenne...

Konstrukcja geometryczna o architekturalnych niemal linjach, które wykluczają wszelką zbędną ornamentację zakładek, plisek, wstawek i t. p.

Ornamentacje te, jeśli są używane, redukują się do możliwego minimum i to w prostych, geometrycznie ujętych deseniach.

Kołnierze futrzane stojące, fokowe, barankowe, z opossum. Bez futra kołnierze wąskie, szalowe z głębokiem wycięciem.

Modne są rękawy kimonowe, zakończone w rąb lub wyłogiem.



KOSMETYKA

KĄPIEL

Przed podaniem kilku recept na różnego rodzaju kąpiele, jak to przyrzekłam moim miłym czytelniczkom, pragnę powiedzieć słów kilka o kąpielach morskich. Może odbiegam trochę od tematu, bo kąpiele morskie właściwie nie należą do tej samej kategorji, co inne, poprzednio przezemnie zalecane, ale ze względu na to, że kąpiele morskie są nietylko wielką przyjemnością, lecz ponadto doskonale oddziaływują na cały organizm i zdrowie, poświęcę i im kilka słów.

Morze, piękna lustrzana tafla wód, wykąpana w blasku niebios i słońca. Morze, czasem ciche i spokojne, czasem burzliwe i gwałtowne!

Morze!... Któraż to z pań nie śniła o tobie podczas długich, zimowych wieczorów, któraż to nie tęskniła za złocistym piaskiem nadbrzeżnym i ciepłem słonecznego promienia? A więc wiedz, piękna pani, że kąpiel morska jest nietylko przyjemnością, ale, jak to powiedziałam, bardzo służy zdrowiu, odświeża cały organizm, działa wzmacniająco na naskórek, pobudza krew do życia, jednem słowem kąpiel morska jest wielkiem dobrodziejstwem dla urody, kształtów i zdrowia pięknej pani. A teraz kilka recept:

1) Kąpiel aromatyczna

500 gr. kwiatu lipowego lub innego z zapachem należy włożyć do woreczka z otworami i opuścić do wanny.

2) Kąpiel orzeźwiająca

500 gr. octu, 200 gr. gliceryny, 500 gr. dowolnego kwiatu z zapachem.

3) Kąpiele wzmacniające naskórek

200 gr. octu, 200 gr. benzoesu, 200 gr. kwasu lipowego.

4) Kąpiele ściągające naskórek

200 gr rozpuszczonego ałunu domieszać do kąpieli.

5) Kąpiele udelikatniające skórę

Rozpuścić w wannie kilo krochmalu.

6) Kąpiele wzmacniające organizm

Rozpuścić 1 kg. soli morskiej w wannie.

HUMOR



Automobilista (który przejechał koguta): „Co?! Dziesięć szylingów za starego koguta?
Farmer: Ach, nie patrz pan na koguta, ale na cenę jaj!



— Wyobraź sobie, Doroto, jeden z naszych uczonych dowodzi, że małpa pochodzi od człowieka.
— Zaczekaj jeszcze parę dni, przekonamy się wówczas, jak będzie wyglądał nasz syn.

ZAMIAST SKRZYNKI POCZTOWEJ

Już się zaczyna. Pierwsze jaskółki grafomanji ciągną do naszej redakcji, znosząc najrozmaitsze „utwory". Telefon brzęczy całemi dniami. Informacje.

— Dlaczego nie nadaje się? Ależ, Panie Redaktorze i t. d. i t. d. Ale tak zawsze było.

A. Wilkoński (1805—1852) daje wyraz temu zjawisku w swoich arcyzabawnych „Ramotach i ramotkach". Trudno się powstrzymać by nie podać wyjątków jednej z nich:

Młodzieniaszek zapala się we śnie żądzą sławy, widzi i słyszy, jak dwaj z Olimpu heroldowie trąbią w cztery części świata: „Fabian Oślikowski napisał tom z 143 stronnic złożony, romans oryginalny, pod tytułem: „Kurhanek".

Fabiś nazajutrz pisze i z radości płacze jak bóbr; matka płacze, że się dochowała takiej pociechy i chluby; kochanka pyszni się jak paw, że jej narzeczony napisał romans; brat w szkołach co pół godziny powtarza: „mój brat, co książki pisze"; a wujowie, stryjenki, ciotki i stado krewniaczek,—wszystko wrzeszczy: „Fabiś napisał książkę, Fabiś bardzo uczony! — Mój Boże! ktoby się był spodział, — najgorsze ze szkół przynosił świadectwa, a teraz książki „komponuje". Zwyczajnie, zafukali". — I Fabian Oślikowski nie wiedząc, jak się to stało, został autorem... śmieci literackich.

Kalasanty Rozpętowicz jeszcze w czwartej klasie umarzył sobie powieść historyczną (?) „Ruiny zamku Zdzisława" i głowa jego była przez trzy lata brzemienną Ruinami Zdzisława, i trzy lata zaglądał do starej spleśniałej kroniki, w powieści kilka razy wspomniał o Jagielle i o Krzyżakach; opuścił wprawdzie tło ówczesnego wieku: Krzyżacy gadają językiem naszych dandych „weź pan miejsce" — miej pan tę dobroć osądzić moich uczniów" i t. p. — ale są nazwiska historyczne, a więc romans historyczny, i lubo Zabrzezińskich wprowadza do miasta, które za naszych czasów zbudowane zostało — nic to nie szkodzi, — od czego „licentia poetica". Natomiast nazwiska autora gotyckiemi odtłoczone literami, odkładkę dano ciemno-tabaczkową z seledynowemi ozdobami, rok najświeższy o sześć miesięcy naprzód posunięty, w dwóch tomach 177 stronic, — i Kalasanty Rozpętowicz stworzył powieść historyczną. NN. i XX. przesłali do gazet pochwalne sądy; p. Y. wytyka pomniejsze usterki, ale przyznaje wielki, niepośledni geniusz; dziwi się, dlaczego się ten gieniusz ukrywał i zaklina na Jowisza, aby takich nie zagrzebywał zdolności.

Minodora, piękną Minodora, w stu bezsennych nocach ułożyła powieść uczuciową: „Edgar i wierność do grobu, czyli złoty kolczyk w A-

Do okulisty przychodzi staruszek prosząc o zbadanie.

— Nic nie widzę — orzeka okulista po chwili.

— I ja również nie, — odpowiada pacjent — właśnie dlatego przyszedłem.

— Jak wam nie wstyd — mówi przechodzień do żebraka, który natarczywie prosi o jałmużnę. — Czy nie możecie znaleźć sobie pracy?

— Czy ja pana prosze o radę — odpowiada żebrak. — Mnie chodzi o pieniądze.



„Duce" Mussolini jest chroniczną ofiarą karykaturzystów.

— Doskonale się czuję, a przecież, kiedy mój ojciec przyszedł na świat, ważył tylko 500 gramów.

— No i co? żył?



— Co ja mam z tym Konem! Winien mi 1000 zł., a nie mam na to dokumentu.

— Napisz, że ci winien 1500.

— I co z tego?

— To on ci odpisze, że winien tylko 1000 i będzie dokument.

---

rabii": Jarmark w Jędrzejowie. Ansgar poznaje Filomenę. Ansgar odjeżdża do Algieru, tam zabija trzystu beduinów, chwyta lwicę i lwięta, kuje w kajdany, zwycięża hienę, krokodyla i parę lampartów. Otoczony żywemi potworami, wraca do śnieżnego podnóża powątpiewającej o jego wierności Filomeny. We wnętrznościach krokodyla znajdują kolczyk, który Adila Turczynka, karmicielka Filomeny, otrzymała od jej babki Petroneli, jako dowód, że Filomena księżniczką. Filomena mitrą książęca okryta nie zmienia uczuć wyrabia u stryja księcia, hrabiowską dla Ansgary koronę. Ansgar nie wiedząc o tem i wątpiąc o wierności Filomeny, wstępuje do kartuzów, tam oddaje mu przełożony pismo, które mu przed trzydziestu laty umierający podróżny był złożył i z którego się okazuje, że Ansgar jest potomkiem Boabdila, ostatniego z królów maurytańskich. Mieszkaniec z wysp Kanaryjskich (gdzie cukier najlepszy robią) zwiedza Rzym, dowiaduje się osobliwym przypadkiem, że Ansgar jest synem Ildefonsa, zwraca mu 60 miljonów franków, złotem holenderskiem na węgierski kamień ważonem, skarb u niego na schowanie przez Ildefonsa zostawiony. Władze duchowne uwalniają Ansgara od ślubów klasztornych itd. itd.

Niedawno dostał mi się do rąk, wielki, rozchwalony poemat z dziejów rodowych. Czytam — i słowa nie rozumiem, co autor za cel był sobie założył. Autor był mi dobrze znajomym, pytam i proszę o szczerą odpowiedź. Pogładził jędrnej czupryny, zaczerwienił się jak rak, jąkał się, — lecz gdym go ściskać przyjacielsko począł, i gdym mu do duszy zagadał: „Kubusiu, powiedz, jak-eś uczciw, powiedz, skąd powziąłeś pierwotną myśl do tego poematu? coś napisać chciał? co to są za osoby Rodryg i Odrzygiełło! wyjaśnij mi ty mitologiczną ich tajemniczość"—wówczas Kubuś rzekł: „Pierwotną myśl do tego poematu podał mi romans Rinaldo-Rinaldini. Rzecz całą zmieniłem, uczyniłem ją rodową! bohatera mego poematu Odrzygiełłę przeniosłem w ukraińskie stepy i tam został przez puszczyki, przez nietoperze zadzióbanym na śmierć, — z której powstaje dopiero po siedmiu latach i ukazuje się swym przyjaciołom na kontraktach w Kijowie".

— I cóż, Kubusiu, nie czujesz zapalenia mózgowego?

— Oj! czuję, czuję, że coś ssie moje siły umysłowe, doznaję chwilowo zawrotu i w głowie mi się kręci...

— Niestety! już są czerwone robaczki, już do kołowatych, do najniebezpieczniejszych, do warajtów należysz. Zmiłuj się nad sobą póki czas,, Kubusiu! kołowacizna autorstwa książek jest chorobą okropną, posłuchaj mej rady; — jeżeli nie masz usposobienia naukowego, jeżeli w twej głowie pustki, po cóż ci koniecznie pisać?

Wolno śród różnych półgłówków, śród ludzi ograniczonych, popisywać się z niedogryzkami literackiemi, ale prawdziwa wartość przyznaną obecnie bywa — tylko prawdziwej wartości; — kołowroty, kręciki, wiek złoty dla was przeminął

ROZRYWKI

ZADANIE Nr. 2.

Wyciąć i poskładać, by otrzymać figurę.



ZAGADKI CHIŃSKIE

Jako byk pośrodku pól,
leży cichy ludzki ból...

*

Dwa liście bambusu
wciąż tłuką się z musu...

Za trafne rozwiązanie nadesłane przed 2-m marca i zaopatrzone kuponem, redakcja przeznacza 5 nagród książkowych przez losowanie.

Rozwiązania podawane będą co drugi numer.

OD WYDAWNICTWA

Pierwszy numer „Famulusa" rozeslaliśmy okazowo licznym Czytelnikom celem zapoznania ich z naszem wydawnictwem. Obecnie, kto pragnąłby otrzymywać „Famulusa" stale, będzie łaskaw wypełnić i nadesłać pod adresem Redakcji następujący kupon:

Zamawiam prenumeratę tygodnika ilustrowanego „FAMULUS" na.......... miesiąc.......... kwartał.......... półroku.......... rok.

Proszę o wysyłanie pisma pod adresem (wyraźnie)

Imię i nazwisko..........

Dokładny adres..........

Należność ureguluję po otrzymaniu numeru.

Warszawa, dnia.......... 1927 r.

Podpis

UWAGA: Niepotrzebne wyrazy zakreślić.

Ruch wydawniczy



Najbliższą nowością „Książek Różowych“ i „Książek Błękitnych“ w serji różowej (dla dzieci) będzie w bieżącym tygodniu „Wróbel-mikado“, bajka japońska Remigjusza Kwiatkowskiego.

Jest to cenne przyswojenie polskiej literaturze dziecięcej jednego z najpiękniejszych utworów literatury japońskiej ze słynnego zbioru „Sadzanami-Sadzanmi“, zawierającego legendy i baśnie poetyckiego Kraju Wschodzącego Słońca.

Bajka „Wróbel-mikado“ przełożona została wierszem i uscenizowana, nadając się na efektowne przedstawienia teatralne dla dzieci.

Treść zdobią znakomite ilustaracje Molly-Bukowskiej.

*

„Żołnierz Pański“ Gustawa Olechowskiego jest ostatnią nowością Bibljoteki Dzieł Wyborowych.

Sylwerjusz — bohater powieści Olechowskiego, jest tym człowiekiem, który pracuje nad odrodzeniem moralnem narodu i którego życiu na imię jest — czyn.

...„A ja czasem myślę, że niewola nasza stuletnia nie była najstraszniejszą epoką naszej historji — woła Sylwerjusz, gdy wybiła godzina niepodległości. — Że my dopiero teraz odczujemy, jak przerażające są ułomności naszych wykoszlawionych niewolą charakterów, że dopiero dziś, przy tworzeniu państwa, przekonamy się o rozpaczliwych brakach naszych, o szalonem pogmatwaniu naszej ideologji, doktryn, naleciałych dogmatów, wpływów obcych, zatracenia istoty naszej duszy narodowej“.

Redakcja i Administracja: Miodowa 5. Telefony: 28-33 i 2-96.

Konto P. K. O. Nr. 14315. — Redaktor i wydawca *Eugenjusz Rafalski.*

Zakłady Graficzne „Polska Zbrojna“, Warszawa, Nowolipie 2.

NAJLEPSZY UPOMINEK

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Książki Różowe = = Książki Błękitne

wypełniają dotkliwą lukę w naszem piśmiennictwie, wzbogacając ubogą dotąd literaturę dla dzieci i młodzieży przez systematyczne wydawanie odpowiednich utworów o pięknej i zdrowej treści, dostępnej jak najszerszemu ogółowi przez swą taniość.

Książki Różowe = = Książki Błękitne

w każdym tomie zawierają do 10-u arkuszy druku z licznemi ilustracjami oraz barwną kartonową oprawą. Zarówno treść, jak i forma poszczególnych tomów utrzymane są na wysokim pozomie literackim i artystycznym, dostarczając czytelnikom nietylko ciekawej i kształcącej lektury, lecz także estetycznie wydanych książek, dorównywujacych wartością i wyglądem wydawnictwom zagranicznym.









PRENUMERATA

Za 2 książki:
miesięcznie zł. 2.-
kwartalnie zł. 6.-

Za 4 książki:
miesięcznie zł. 4.-
kwartalnie zł. 12.-

Za przesyłkę lub odnoszenie do domu dolicza się 10 prc.

UWAGA: Przy nadsyłaniu zamówień na prenumeratę należy dokładnie określić, jakie książki się zamawia, czy różowe—dla dzieci, czy błękitne—dla dzieci starszych i młodzieży. Książki wydawane są kolejno, raz różowa, raz błękitna, a mianowicie: 7-go, 14-go, 21-go i 28-go każdego mies.

Prenumeratę przyjmuje się również wstecz od tomu pierwszego, t. j od 1-go listopada 1926 roku.

CENA
tomu w oprawie
1 zł

Wyd. i Redaktorka
Janina Remigjuszowa KWIATKOWSKA

Kierown. literacka
Stefanja JERWICZOWA

KSIĄŻKI RÓŻOWE i KSIĄŻKI BŁĘKITNE

BIBLJOTEKA ILUSTROWANA DLA DZIECI i MŁODZIEŻY

Adres Red. i Adm.: E. WENDE i S-ka, Warszawa, Krak. Przedm. 9, tel. 303-50
Konto czekowe P. K. O. № 13.636